

## **Część druga**

***Wspomnienia kartuskiej ludności cywilnej z pierwszych dni w okupowanym przez hitlerowców mieście nazwanym – Karthaus - 1939 r.***



## **Anna Dziewiątkowska**

### **Niezapomniany rok 1939**

Był koniec lipca 1939 r.. Wracałam z kursu Przynależności Wojskowej i Wychowania Fizycznego z Augustowa z szarżą i bardzo dobrym świadectwem. Było nas 240 uczestników, w tym duża ilość nauczycieli. W strzelaniu byłam nie do pokonania, gdyż na 36 możliwych punktów wystrzelałam maksymalną ilość.. Strzelanie i pływanie to był mój ulubiony sport. Byłam mistrzem miasta i powiatu w pływaniu, za co otrzymałam dyplom, a w strzelaniu ostrym zdobyłam pierwsze miejsce w powiecie.

Wracamy do domu. Wszystko pakujemy z kursu i odjazd. Każdy w swoją stronę. We czwórkę jedziemy w stronę Gdyni. W pociągu dochodzą do nas wieści od konduktorów, że gdy będziemy jechać przez Gdańsk, nie mamy stać w oknach. Gdańszczanie rzucają kamieniami w pociągi i szkło szyb kaleczy pasażerów. Gdy dojeżdżaliśmy pod Tczew kazałam dziewczynkom być ostrożnymi. Sama zaś nałożyłam na głowę beret z orzełkiem na bakier, a całą swą osobą w mundurze wojskowym stanęłam w oknie.

Wytrzeszczam oczy, na jakikolwiek ruch. Dziewczynki kładą się na ławki twarzami w dół, są bardzo zmęczone. Może śpią, a może ze strachu wcale się do mnie nie odzywają. Dojeżdżamy do Gdańska. Pociąg staje. Podchodzi do mnie jakiś kolejarz gdański, coś bardzo krzyczy „Die Polnische Bande. Bald werden wir Euch verjagen” (polska banda. Niebawem przegonimy was) itd.. krzyczy i krzyczy na mnie. Stoję dumnie, pas koalicyjny sobie poprawiam, ramionami ruszam udając, że nic nie rozumiem, chociaż pewnie lepiej od niego umiem po niemiecku, gdyż ryczał Danziger plat. Gdy tak wytrząsł się nade mną, pociąg gwizd i mu zaszalutowałam. Głupio się roześmiałam, pokazałam mu moją kobiecą pięść, a pociąg poniósł mnie dalej do Gdyni.

Mój Szwab, czegoś podobnego się nie spodziewał, skakał jak głupi, rękami i pięściami wywijał. Skakał jak pies uwiązany na łańcuchu, lecz ja, widząc ten obraz, całą gębą się roześmiałam. Wszystko opowiedziałam moim koleżankom. One trochę wystraszone to przyjęły. Do Gdyni trzeba było jeszcze jechać przez Freistadt. Mnie to bardzo ubawiło. Cicho spokojnie dojechaliśmy do Gdyni ok. godz. 23. 00. Przespałam się u brata Leona Krygiera na ulicy Świętojańskiej 63, a na drugi dzień rano przyjechałam do Kartuz.

Gdy weszłam do mieszkania zobaczyłam mundur wojskowy. Mój mąż szedł jako ochotnik do Obrony Narodowej. Przywitanie, omówienie, jaka sytuacja. Meldowanie się do władz Obrony Narodowej o przyjęcie mnie. Kapitanem był Marian Mordawski<sup>1</sup> i kpt. Roman Wasilewski<sup>2</sup>.

---

<sup>1</sup> Kpt. Marian Mordawski był dowódcą IV Kartuskiego Batalionu Obrony Narodowej – przyp. N. M.

<sup>2</sup> Kpt. Roman Wasilewski był dowódcą 1 kompanii IV Kartuskiego Batalionu Obrony Narodowej – przyp. N. M.

I do pracy. Na pierwszym miejscu organizowanie Punktów Czerwonego Krzyża, zorganizowanie kuchni dla uciekinierów, oczekiwanie na rozkaz przywożenia rannych. Trwało to kilka dni i jakoś się latało bez przerwy, dom został zupełnie bez opieki, żywienie w kuchni żołnierskiej. Praca, dniem organizacja, a w nocy dyżur przy telefonie.

Aż odwołano mnie z miasta do telefonu. Nikt się nie pytał, za ile na Wzgórze Wolności, gdzie był kpt. Wasilewski i miał swoją kompanię pod Łapalicami. Już nie mogłam się ruszyć, jeść co się miało, i tak się dyżurowało dwadzieścia cztery godziny bez przerwy.

Aż przyszedł rozkaz. Tabor się wycofuje za Grzybno drogą w lesie pod Szarłatą. To było 3 września godz. 16.00 lub 17.00. Alarm. Może jakieś 12 razy zjeżdżaliśmy ze Wzgórza w dół szosą pod miasto, a tu Niemcy nas ostrzeliwali z ul. Chmielńskiej, jedna partia wozów zjeżdżała ul. Klasztorną pod miasto, lecz już nam mówili, że Niemcy są na Rynku. Cofnęłam cały tabor, część do Gaju, część z powrotem pod Łapalice – Prokowo. Spotkaliśmy się na szosie pod Prokowem. Gdy przeszliśmy lasek szosą jechał ze mną sierżant z Chmielna. Nazwiska nie pamiętam. Gdy przeszliśmy lasek, zobaczyłam, że w lesie stoi polski żołnierz w płaszczu, a karabin ma wycelowany na szosę. Podeszłam do niego mówiąc, że ma się wycofać z nami. Żołnierz miał czapkę zaciągniętą na oczy, a lufę skierował na mnie. Podeszłam jeszcze bliżej, lecz sierżant zakrzyczał na mnie, czy nie widzę, kto to jest. Wtem popatrzyłam, że lufa jest na mnie skierowana, odwróciłam się w bok i poszłam za sierżantem. Miało to miejsce może około czterech kroków od szpiega. Nie było nikogo więcej koło nas, gdyż wozy toczyły się szosą. Gdy wszystko się przetoczyło, pojechaliśmy do Grzybna, później pod Szarłatą.

Na drodze spotkał mnie żołnierz, który na motorze wracał z Kartuz. Był to nauczyciel Wróbel z Kartuz, który powiedział mi: „Pan Dziewiątkowski został zastrzelony na Rynku. Więcej widzieli żołnierze, jak strzelali z wieży kościelnej na Rynku, a mąż się zataczał i upadł”.

To już dosyć, była więc, pierwsza ofiara, właśnie na mnie trafiła. Oj, to już nie mam co dalej iść, powiedziałam, że wrócę. Ale już nie ma co, rozkaz. Naprzód.

Gdy tak wszyscy razem szliśmy, ja ubieczana, wściekłość się we mnie zapaliła jeszcze większa, zacisnęłam pas a ręką browninga, oj nie dam się wam tak szybko. Wy tchórze. Z kościoła do żołnierza, to tylko szpicle mogli to zrobić, tak idę i złość, i płacz razem idą w parze. Słyszę gwizd, a myśmy mieli nasz sygnał rodzinny. Oglądam się niedowierzając, czy może nie dosłyszałam, ale nie. Zobaczyłam, że jakiś żołnierz pędzi na rowerze wprost na mnie, wszystko mu uciekało z drogi. Już wszyscy się o tym dowiedzieli, że zabity. A tu patrzę, jedzie Dziewiątek cały, żywy, spocony, spod hełmu twarz w łzach i leci do mnie z radością. Nie dowierzałam. Czy to on, lecz tak mówił: „Szybko jechałem przez Rynek z rozkazem spod Somonina, a tu trach, trach do mnie lecą kule. Ja pędem, ile sił, skręciłem, aby jak najprędzej z Rynku wyjechać i do sztabu na Jeziorną. A tu już nikogo nie było. Wtedy pędem za wami, bo już Niemiec na Rynku, na dworcu. Wszędzie ludzie mnie poinformowali, jak mam jechać, którędy droga wolna, no i jestem z wami. Już dobrze. Jednak, gdy jechałem przez most kolejowy pod Grzybno to już z dworca Niemcy do mnie strzelali.

Miała być pierwsza ofiara z rąk bestii. Więc szliśmy na Pomieczyno, dalej polnymi drogami do Szemuda. Było jeszcze ciemno, a wojsku chciało się pić. Nam mówiono, że po południu tu byli SS - mani, teraz się wycofali. Wioska bez ludzi, mieszkania otwarte. Stanęliśmy nad studnią, czy

można wodę pić czy nie, chcemy szybko badać, bo byłam sanitariuszem.

A tu w tym trach, wałą się kule, jak groch. Każdy idzie jak szaleniec, aby za mur, aby za dom, skaczą przez płot, upadam. Kładę się, a tu kule sypią się jak groch. Blisko ściana chlewa, odbijają się kule. Nic nie widać, słyszę koło mnie ktoś dyszy. Po jakichś 5 minutach strzelanina ustała. Usłyszałam z daleka kilka razy polskie wojsko i koniec wszystkiego. Poczułam, że mokro mi się robi w prawe udo. Zapytałam, kto koło mnie leży. Odezwał się żołnierz, nie pamiętam nazwiska. Powiedziałam, wiesz kolego? Już śliwkę zjadłam mam udo przestrzelone, krew mi się leje, bo czuję mokro.

Żołnierz się zerwał, zawołał: „Panie Dziewiątkowski” - do mojego męża - bo wiedział widocznie, gdzie był mąż. A był niedaleko nas. „Chodź Pan tu, bo żona jest ranna”. Przyskoczyło jeszcze dwóch żołnierzy i poszliśmy do domku, gdzie nie było żadnego światła. Stałam, a tu mnie się leje do buta. Zapalili zapalczkę. Zobaczyliśmy, że byłam wybrudzona, cały płaszcz, wszystko obornikiem. Więc śmiech i płacz razem, że jednak nie tak źle. Gdy brzmi rozkaz - padnij - to bez różnicy, gdzie, aby uniknąć kuli. Gdybym stała, na pewno nie obyłoby się bez tragedii. Była to studnia na rogu skrzyżowania z Szemud – Wejherowo.

A można było coś oberwać, bo niedaleko o pięć kroków padły z konia był zraniony żołnierz. Gdy się znów wszystko zebrało, jak najciszej, marsz i dalej do lasu pod Kamień. Tam krótkie śniadanie, chciałam sobie nogi umyć w błotku. Był tam mały mająteczek. Jedna noga umyta, a tu alarm, gdy zebrałam but i w nogi. Już nie było ani kuchni, ani żołnierza i mój śliczny zegarek został koło błotka, po którego już nie było czasu wracać.

Gdy wybiegłam na szosę jechał autobus z kierowcą Kiwitem. Na rozkaz por. Henniga<sup>3</sup> musiałam zawieźć amunicję do Chylonii. Do szkoły. Nad nami niemieckie samoloty, a my sami. Jechaliśmy po polnych drogach przez las wąską drogą, a szyby pękały od gałęzi drzew. Dojechaliśmy szczęśliwie, już nas witali marynarze, odebrali granaty itd. Do autobusu wszedł marynarz i zameldował się. O dziwo, to mój brat Robert. Szybkie przywitanie, odebranie wszystkiego, a było to 30 skrzyń granatów. Z Bogiem i dalej pod Gdynię.

Weszłam do mjr. Stanisława Zauchy<sup>4</sup>. Melduję, że Kartuzy już zajęte przez Niemców. Straszna rozpacz. Rozkazy padają, z wszystkim robi się porządek. Ja lecę, aby się dostać gdzieś do wojska. Lecz już szpitale wszędzie, gdzie jaka szkoda. Mnie nie urządził szpital, chciałam z powrotem do naszych chłopców. Poszłam na dworzec. Wyjechałam pod Wejherowo, bo tam skierowała się nasza Obrona Narodowa. Przyjechałam i pytałam, a tu mówią mi, że w jakimś gimnazjum są Kartuzy. Dużo można spotkać naszych ludzi, wśród nich byli i tacy, co już zapomnieli mówić po polsku.

Znalazłam naszych Kartuzjaków, lecz żołnierze nie wiadomo, gdzie ich los rzucił. Więc był i Stanisław Krupkiewicz i Renachowski, dużo znajomych, dużo młodzieży i kuchnia dla bezdomnych, więc zaraz do roboty. Było bardzo dużo chorych, więc bandaże, apteczka i co tam było się robiło. Opatrunki, temperaturę się obniżało. Choć było mało lekarstw, bo już i lekarstw zabrakło, a doktora nie było. A gdy już wszystkiego zabrakło, myło się rany zwyczajnym mydłem i chusteczką do nosa. Gdy ktoś miał

---

<sup>3</sup> Por. rez. Bernard Hennig był adiutantem kpt. Mariana Mordawskiego, dowódcy IV Kartuskiego Batalionu Obrony Narodowej. Zamordowany przez hitlerowców – przyp. N. M.

<sup>4</sup> Mjr Stanisław Zaucha był dowódcą I Gdynińskiego Batalionu Obrony Narodowej – przyp. N. M.



przy sobie czystą, a tak zostawiło się umytą bez bandaża. Bo to były tylko cywile i otarcia nogi. Już coraz goręcej się robi, bo chłopcy którzy chodzili rowy kopać uciekali. A gdy myśmy zbiórke w parku czy ogrodzie robili to samolot z Hakenkreuzem nas ostrzeliwał, a myśmy musieli się schować do izb.

A tu 8 czy 10 września, już nie pamiętam, ale było to w niedzielę, wchodzą Niemcy, w sobotę, gdy wojsko nasze cofnęło się pod Gdynię. Myśmy się rozeszli po domach znajomych.

Tu spoglądaliśmy z okna. Tylko co Niemcy weszli, była może godz 5.00 rano, a już ok. godz. 7.00 Hakenkreuz Fahna naprzeciw naszego stryjka. Wywiesił ją jakiś stary dziad. A była taka długa, że sięgała od II piętra aż niemal do chodnika. Abyśmy uderzyli w płacz. Każdy wiedział, co go czeka.

Już tej niedzieli zaczęły się aresztowania. Mogliśmy to dobrze obserwować, bo niedaleko dworca i głównej ulicy chodzili tylko cywile z opaską swastyki, żołnierz niemiecki. Byłam, widziałam na Rynku koło kościoła jak zakatrupili polskiego policjanta. To ludność, kobiety wejherowskie wytykały mu. „A ty gnoju, to a to, żeś nam zrobił”. Jak nieborak podniósł się z ziemi to go kopali, bili i pokrwawiony upadł znowu. Tak przyszłam i tam z płaczem opowiadałam, poszłam jeszcze na Rynek, aby co zobaczyć. Lecz już było po wszystkim, kałuża krwi i wszystko, a jacyś ludzie dumnie krążyli po Rynku, drudzy zasmuceni. Gnali do bram szkoły i przy wrotach, gdzie już było widać niemieckiego żołnierza, prosili o widzenie się z tym lub owym. Bo już w szkole było pełno aresztowanych Polaków. I chcieli podać żywność tym biednym aresztowanym. Albo mieli jakie ubranie, płaszcz, jedzenie. A niektórzy i nie tylko chcieli wiedzieć czy brat, ojciec, syn znajduje się tam pod kontrolą. Jednak co mógł ten żołnierz przy wrotach powiedzieć. Trzeba było się pytać tych, co kazali Polaków

uwięzić. Już nie było się za czymś lepszym oglądać. Gdy zostały wywieszane ogłoszenia, że, aby powrócić do domu, trzeba postarać się u władz niemieckich o Passierschein, poszłam po swój. Rozmawiał ze mną żołnierz niemiecki, który powiedział, że jeżeli mam coś na sumieniu, to lepiej nie wracać. Ja mu z uśmiechem, co kobieta może mieć na sumieniu, lecz on się śmieje. Dobrze mi mówił, lecz nie mogłam zrozumieć. Myślałam, że mordować to chyba kulturalny naród niemiecki nie będzie, to chyba nieprawda, ale niestety można się pomylić. dziś każdy się wyrzeka, nie to ja, to SS-mami. A był u nich już taki szkrab mały był dumny, miał na rękawie swastykę i dumnie czas: „Precz z polskimi bandytami”.

Zabrałam mój Schein (przepustkę) i z innymi pojechałam rowerem do Kartuz. Spotkaliśmy dużo wojska i dużo kontroli, zawsze uśmiechniętych do nas kobiet i młodzieży. I tak od godz. 9.00 rano (wyjazd) byliśmy do godz. 19.00 w Kartuzach. Już nie poszłam do mojego mieszkania, tylko do ojca. Miał mały sklep kolonialny na Przy Rzeźni.

Ojciec przeląkł się, widząc mnie, swoje dziecko. „Już tu byli po Bernarda (męża mego) i po Ciebie, mieszkanie zaplombowane. Radia wzięli i masz sama przyjść po klucz od mieszkania do policji niemieckiej”.

Oj, to mi się tak prędko nie uśmiechało, umyłam się trochę, przebrałam, bo już wojskowy mundur został usunięty przedtem w Wejherowie. Sweter zastąpił mundur. I narada, co zrobić. Byłam bardzo senna położyłam się późno spać, światła nie wolno było zapalać. Więc po ciemku obserwowaliśmy na ulicy patrole godziny policyjnej, godz. 19.00. Ani uciec więc siedź i czekaj końca.

A tu rano godz. 9.00 - 10.00 przyszło dwóch żołnierzy, Alfred Sakolowski z ul. Gdańskiej 13 i Mielewczyk, Gdańska 23. Pytali o mnie. Ojciec był w sklepie, gdyż Niemcy mu go zamknęli, a on sobie tam uporządkował. Nie wiedział, co miał mówić, ale wyszłam z drugiego pokoju.

Odezwałałam się, że jestem. Strasznie się ojciec przeląkł, może chciał coś skłamać. Chciałam mu jednak oszczędzać tych nerwów.

I tak mówię jestem. W tym Sakolowski bardzo, bardzo ucieszony podszedł do mnie z żołnierzem, położył mi rękę na ramieniu i powiedział, że jestem aresztowana. Muszę iść z nimi. Ubrałam resztę, buty, płaszcz, więc tatusiu z Bogiem i poszłam.

Prowadzą mnie ulicą dr. Majkowskiego, koło Prezydium już widzę SS-mana, stoi i Sakolowski. Pokazuje na mnie bardzo dumny, a tamten śmieje się i potakuje głową. Więc prowadzą mnie wprost do więzienia na podwórku. A tu rozpacz, pięć stołów rozstawionych. Wszędzie przesłuchy, bicie, wyzywanie. Gdy mnie prowadzą do jednego stołu, zobaczyłam siedzącego Pawła Mielewczyka z ul. Gdańskiej. Polizei-Inspektor Borken zapytał mnie, gdzie byłam. Powiedziałam, że zawiozłam bratu bieliznę i nie mogłam się z powrotem dostać. Pyta się Pana Mielewczyka, czy mam brata w Gdyni. Ten mówił że tak. Wtedy Alfred Sakolowski powiedział, że Paweł Mielewczyk mówił, iż zastrzeliłam niemieckiego leutnanta, oczy i nos mu odcięłam i, że dałam zamknąć sto niemieckich kobiet. Gdy się bardzo oburzyłam, dostałam w twarz, kopniaka i znalazłam się pod stołem. „Od razu będziesz rozstrzelana, stań pod murem”. Oj, sobie mówię, tu nie ma żartów ale czekam na repetowanie broni, lecz nic. Ale gdy tak stoję czuję galaretę w nogach. Tylko proszę Boga, żeby dobrze trafili.

A przez ten czas za mną słychać było bicie i kopanie. Tak sobie myślę. Patrz, tego Pawła też mają, bo siedział na jakimś tam kawałku drzewa jak nieborak.

Ale gdy mnie z powrotem wołali do stołu nie wierzyłam swoim uszom. Podchodzę, a on na mnie: ”Ty polska świnió, tyś na froncie niemieckiego leutnanta zabiła,

później mu uszy obcięła, oczy wylupała, nos obcięła, broń mu wzięłaś”.

Aż mi oczy na wierzch wylazły. Aha, myślę, za to samo w Wejherowie był samosąd polskiego policjanta. Już teraz się im nie wymkniesz. Więc już kręcę się jak mogę, gdzie wszak nie byłam w żadnym wojsku, ani żadnego żołnierza nie zabiłam i się tłumaczę jak mogę, i wpadłam z pyskiem do Sakolowskiego: „Przyprowadź mi Pan choć jedną kobietę, którą dałam zamknąć, a jeżeli z tym leutnantem takie coś zrobiłam, to nie jestem ani waszej kuli warta, bo chyba już miał dość, gdy go zabito”.

Gdy tak sobie pyskuję, trach w pysk, pod stół i marsz do celi. Tam ty się do wszystkiego przyznasz. I dopiero widziałam, że Paweł Mielewczyk się bardzo z tego śmiał. A gdy żołnierz zaprowadził mnie do celi szybko podbiegłam do okna i zobaczyłam, że Paweł jak najlepiej z nimi rozmawiał. I było mi wszystko jasne.

Jeszcze muszę wrócić do 2 września. Dostałam rozkaz od por. Henniga, ażebym pojechała do Dzierżążna czy Żukowa. Tam ma być jeden czy dwóch żołnierzy rannych i trzeba ich przywieźć do szpitala. Więc pojechałam z kierowcą Strzyżewskim z Kartuz szukać tych rannych. Za Dzierżążnem nie chcą już nas dalej puścić, ale chyba dla mnie nie ma drogi zamkniętej, wszyscy mnie znają i lecę dalej do Borkowa. Jest koło jeziora żołnierz Natzel. Zawołał mnie, ażebym nie jechała dalej bo w każdej chwili wysadzi szosę i nie będę mogła wrócić. Lecz uśmiecham się i ruszam dalej, przyjeżdżam do mostu pod Żukowem, wołam do naszej młodzieży, bo była tam tylko młodzież z gimnazjum.

Stare karabiny francuskie trzeba było kamieniem zamek otworzyć, ażeby załadować. Ale nie było żadnej innej broni w mieście bo Obrona Narodowa broń miała tylko dla siebie. Wszyscy rwali się pomóc bronić naszych granic.

Tam na tym moście PKP leżą uradowani ochotnicy, biedacy, że też mogą bronić, ile tylko mają sił.

Gdy wysiadałam z samochodu furgonetki zapytałam, czy ktoś jest ranny. Powiedzieli mi wszyscy razem, że nie, nikt z nas. Bardzo wielka radość, że nikt, a ja tak się nimi opiekuję. Więc czołem chłopcy, pojedę dalej. Ale mnie chłopcy zatrzymują. „Pani Dziewiątkowska, patrz Pani już koło elektrowni Borkowo - Żukowo są Niemcy, patrz Pani jak oni schodzą, nie widzi Pani. Niech Pani dalej nie jedzie”.

A pancerny pociąg wali ogniem od Borkowa na Żukowo jadąc pod Żukowo. Pa, chłopcy, lecę na Żukowo, Powiedziałam do Strzyżewskiego kierowcy z Kartuz: „Jedziemy, nie poddamy się, nikt nas nie zatrzyma, jazda bo strzelam, repetuję broń”.

Przyjechaliśmy do Żukowa, spytałam, czy są ranni nasi. A tam mówią: „Na wozie leży dwóch Niemców, jeden postrzelony w kolano, a drugi w pierś. Ten przestrzelony w pierś nazywa się Nitecki, a drugim był Kaszuba bo mówił do mnie po kaszubsku. Krew się leje spod munduru, zapytałam o opatrunek. Jest, jest. Ten ranny w pierś prosi jeszcze o picie. To dałam mu wody, lecz na odpowiedzialność kamrata, bo tak prosił.

Więc do wozu i jedziemy na Kartusy. Szpital. Koło szpitala już pełno narodu. Za wozem lecą jak wariaci. Leciał też Sakolowski i sami Niemcy kartuscy – ewangelicy. Gdy przejeżdżam przed szpitalem jest żołnierz polski w pełnym umundurowaniu. Leci do wozu, widzi tych dwóch Niemców, krzyczy i karabin zdejmuję.

„Co wy tych Niemców do szpitala, ja im łeb roztrzaskam i będzie koniec”.

Lecz do niego tak mówię: „Oj bohaterze, gdzie masz front, co tu robisz w mieście” - pytam. „Takich bohaterów na front. Gdy jednak nie chciał przestać się awanturować, podskoczyłam do niego i wydałam rozkaz: „W tył zwrot.

Odmaszerować”. Zawsze byłam w mundurze z gwiazdką podporucznika i pasem koalicyjnym.

Wtedy poleciałam do szpitala.

Już sanitariusze, Brunon Mejer z ul. Kościuszki, włożyli rannych na nosze, a ja melduję dr. Mroczkiewiczowi<sup>5</sup>:

„Co mam! Jakich rannych!” A gdy powiedziałam „Niemców”, to aż mi śmieszno było patrzeć na minę siostry przełożonej i doktora.

Ale padł rozkaz: „Na górę”.

Wtedy, ja w tył zwrot, i z powrotem do mojego wozu. I do sztabu się zameldować.

### **Więzienie 11 IX 39 r. godz. 10.00**

Już się zaczęło żyć po niemiecku, 7 - 8 razy w dzień i noc przesłuchy. Postulaty podano od władz, czy chcę zostać szpiegiem, czy chcę być Volksdeutschem. Nie wiedziałam, co to wszystko znaczy. Gdy odmówiłam: szpiegiem nie byłam, nie jestem, ani być nie chcę. Wtedy znowu dostałam po krzyżach gumowym batem. Ale tak trochę grubszym i dalej do celi.

Jeść. Cudownie nas odżywiano: kubek czarnej kawy na cały dzień i skibkę czarnego chleba. Na obiad kasza z kartoflami bez soli. Na drugi dzień znowu kartofle z kaszą

---

<sup>5</sup> Por. rez. dr Edmund Mroczkiewicz był dyrektorem Szpitala Powiatowego w Kartuzach. Po zakończonej wojnie obronnej w 1939 r., jako lekarz, trafił do szpitala jenieckiego przy Stalagu II B w Hammerstein (Czarne), gdzie był naczelnym lekarzem do chwili wyzwolenia w 1945 r.. Szerzej zob.: N. Maczulis, *Dr por. rez. Edmund Mroczkiewicz (1902 - 1964), dyrektor szpitala - „znakomity polski chirurg „z Kartuz nad morzem”*, „Kaszubskie Zeszyty Muzealne” nr 12 2004.: Zob. też S. Gryniwicz, *Platek róży białej. Niepublikowany rękopis jeńca wojennego spisany w latach 1940 - 1945 w Stalagu II B Hammerstein (Czarne)*, red. nauk. N. Maczulis, Kartuzy 2006. - przyp. N. M.

bez soli. Chleb trzeba zjeść bo zostawiło wojsko polskie i był spleśniały. Śmiałam się, że to lekarstwo. Ale mogłam moje porcje z powodzeniem oddać, bo gdy rano 12-tego września 1939 r. dostałam wiadomość, że zostanę rozstrzelana, to nie chciało mi się nic jeść.

Co dzień rano dwóch żołnierzy z bagnetami na karabinie koło drzwi, a drugi więzień, podał mi jedzenie. Sobie wmówiłam, że zobaczę czy Pan Bóg jest mocniejszy, czy nieprzyjaciel. I nie wiem, jakim cudem znalazłam w kieszeni Nowennę do Matki Boskiej Ostrobramskiej. Bo tę Nowennę przywiozłam sobie z Wilna, gdy Hołd Pomorza jechał na pochowanie serca Marszałka Piłsudskiego do Wilna.

Gdy Niemiec przy rewizji w celi chciał mi ją zabrać, spytał się mnie, „co to jest,? Powiedziałam mu, że to Gebetbuch, książka do nabożeństwa, popatrzył się na mnie, kiwnął ręką, ach masz mieć, bo i tak nie będziesz długo żyć.

Gdy się drzwi więzienia zamknęły, dopiero przeglądam książeczkę i patrzę, jest tam pismo w liliowym liściku - modlitwa do Matki Boskiej, ażeby nas zachowała od Hitlera. Zdębiałam, porwałam z żalem liścik i zjadłam papierek.

I od tej pory rozpoczęłam Nowennę o przyjście do domu, choć na chwilę. Ażeby choć testament zrobić z meblami i resztą rzeczy. Zawsze miałam umeblowanie na trzy pokoje. Teraz zostawić je bez łaski? Śniłam wtedy, że nic nie wolno ruszać bez mojego zezwolenia. Ale okazało się, że było inaczej. To, co było polskie, stało się niemieckie, czego my Polacy nie wiedzieliśmy. Ale potem dowiedzieliśmy się.

Więc gotuję się na śmierć i zarazem proszę Boga o życie, aż 18-tego września 1939 r. w nocy budzą mnie. Muszę zaznaczyć, że przez 9 dni leżałam na ziemi bez łóżka, aż 9 dnia przyszedł młody SS – mann, major. Gdy był już na schodach słyszałam, że tylko tę babę chcę widzieć. Żołnierz otworzył celę i on ogładał okno. Spytał, dlaczego nie mam

łóżka ? Żołnierz powiedział, że nie trzeba, że... lecz ten major znowu powiedział, że jest pod opieką SS i po godzinie przynieśli mi łóżko, siennik, barłóg, a nie słomę, pcheł tyle, że mogłam z nóg je zgarniać. Miałam gorszą mękę, jak siedząc na podłodze. A tego wieczora, kiedy zdano służbę, znowu to samo. Tu siedzi Flintenweib, baba , która strzelała do Niemców. Zawsze skakali na mnie jak szakale, bili, pluli, a tego wieczora 18 września 1939 r. jakoś żołnierz nic nie mówił, tylko patrzył na mnie jak wryty.

Ciarki chodziły mi po ciele, już nerwy miałam tak potrzaskane, że bez przerwy się trzęsłam. A gdy oni ode mnie odeszli i pozostałam sama w swych rozmyślaniach, co to dalej będzie, otworzyły się drzwi mojej celi. Złęklam się ogromnie bo ciemno w celi, a żołnierz miał latarkę, która strasznie świeciła w oczy. Odwrócił ją, zaciemnił i powiedział do mnie tak łagodnie, dlaczego tu siedzę? Powiedziałam mu, że chyba słyszał. A ów żołnierz na to, „ja tak się zląkłem, bo myślałem, że to moja matka, tak podobna jak kropla wody”. Ach, dlatego pan zaniemówił. Żołnierz nie odpowiada. Co ja tu widzę, co tu się robi, mi się nie chce wierzyć. Otworzył drzwi celi i kazał mi być w drzwiach, ażeby noc nie była tak długa. Więcej jednak miałam strachu, ażeby zbiry nie przyszły i zaczęli katować. Na drugi dzień przyniósł mi swój obiad, który zjadłam i był to ryż z baraniną, tak jak spożyłam obiad, ciężkie bóle brzucha. Po południu przyniósł mi 4 szneczki stare, bo mówił, że świeżych nie ma, a mnie to akurat służyło do tego smacznego obiadu. Bo tak to chyba by mnie jelita rozsadziło.

Najgorsze były wizyty od godz. 16 – 17. Przyjeżdżali samochodami z Gdańska – Hitler Jugend. Ci się nad nami więźniami wyżywali, pluli w twarz, wyżywali, kopali i przede wszystkim robili zdjęcia. Ja byłam zawsze uśmiechnięta, choć mi się z twarzy różne plucie zsuwało.



Nigdy nie byłam smutna. Bo już w Polaku taka krew, dobrze jest cierpieć dla ukochanej Ojczyzny. Ale tchórzem być, to nie da rady. Nigdy, ani nie prosiłam, ani łzy nie opuściłam, bo my Polacy jesteśmy przyzwyczajeni cierpieć. A gdy się pomyślało, że cały naród cierpi, to chyba nie mogłaś stchórzyć przed wrogiem.

Już nasz kochany ojciec wbijał nam polskość, bo on jako urzędnik niemiecki był bardzo poniewierany. Był zawiadowcą stacji. Ożenił się w 1902 r. z moją matką, Kaszubką, która nie umiała po niemiecku. Uczyła nas pacierza po polsku. Niemcy podsłuchiwali nas, za to ojciec rok rocznie był przesiedlany. Każde z nas, dzieci, urodziło się na innej stacji. Najstarszy brat w Krzesznej, pow. kartuski, drugi brat po 1,5 roku w Klinczu Wielkim k. Kościerzyny, a ja w Miechucinie, pow. kartuski.

Wtedy ojca ogarnęła rozpacz. Porzucił pracę jako zawiadowca stacji i poszedł do budowy kolei żelaznej. Tam był aż do 1914 r., do rozpoczęcia pierwszej wojny światowej i wyładował w Tylży w Prusach Wschodnich. I zawsze mówił nam, przekłete Niemcy, tylko jedno, za moją krzywdę trzeba się zemścić. Uciekł z niewoli rosyjskiej w 1917 r., bo był głód i dlatego chciał dostać się do domu.

A już coś gruchotało o wolności polskiej. Ojciec był Poznaniakiem, a gdy w 1918 r. Wilhelm II odszedł, ojciec od razu nam podał, czego mieliśmy się uczyć, a czego nie. Zaznaczam jednak, że już uciekliśmy z Tylży z powodu głodu do cici do Starkowej Huty, w pow. kościerskim. Ojciec już do nas wrócił. Jaka to była frajda, że nie musieliśmy chodzić do szkoły. Dopiero później domyśliliśmy się, że była tu inna polityka. Mieliśmy wpojone przez rodziców, co to mieć ojczyznę i ją bardzo kochać, a nawet za nią krew przelewać. Rozmyślałam nad każdym słowem kochanych rodziców, że nauczyli nas kochać swoje gniazdo, a sami byli tyle lat w poniewierce, bez ojczyzny, a jednak nie zapomnieli o naszej mowie

mimo krzywdy niemieckiej i zakazu używania naszej polskiej mowy.

A tu w celi nachodzą mnie tysiące myśli, jak to pięknie cierpieć dla kogoś, nie błagać o litość. W niedzielę był 9 dzień, jak odmawiałam moją nowennę do Matki Boskiej. Jeszcze nie zdążyłam wstać, już klucze były w drzwiach: „Dziwiątkowska raus”, nie potrafili dobrze wypowiedzieć mojego nazwiska. Polizei Inspektor Borken powiedział, że mam iść do domu. Poszłam do ojca, na ul. dr. Majkowskiego bo tam mieszkali moi rodzice.

W poniedziałek o godz. 16. 30 mówię do ojca, że już po mnie idą. Do okna na parterze ktoś zapukał. To Polizei Inspektor Borken odezwał się: „Herr Krygier, aufmachen” (otwierać). Niemcy weszli i spodziewali się spotkać mojego męża.

A męża nie było. Faktem było, iż przechodząc przez Kartuzy wszedł do domu ojca pytając, czy i co się ze mną stało. Wiedział, że byłam w więzieniu. Przez noc był w domu, a rano poszedł dalej. Przez Toruń, Kongresówkę, Czechy, Węgry, Jugosławię, aż do Francji, gdzie wstąpił do Armii Polskiej już w 1940 r. i przeszedł cały front Tobruk, Monte Cassino.

Niemcy zabrali mnie z powrotem do celi, ale już innej. Teraz dopiero obyło się tu bez jakichś powodów. Dlaczego z powrotem? Trzeba znowu drzeć o życie. Całe więzienie było puste, bo wszystkich wywieźli, tylko zostało nas czworo. Kobiet nie było.

Ale to był taki jeden dzień. Następnego dnia znów jeńców wożą, wożą i wożą. Moja funkcja sprzątania celi i biura ustała. A pan Dunst zawsze miał do mnie pretensje, że nie dość wyszorowałam celę. A dał mi tylko garść słomy i czystą wodę. Chciałam już zębami łotrowi podłogę myć, lecz nie mogłam. On zawsze tylko krytykował, ażeby mi popsuć nerwy. W niedzielę musiałam pracować bieliznę,

obierać Szwabom gęsi z piór, bo ze wsi poprzywlekali ich tyle, a chcieli mieć czyste.

Lecz gdy znowu poprzywozili jeńców, nie wiem dlaczego, zabronili mi w ogóle wychodzić z celi, a jedynie do sprzątania. Bo gdy się dowiedziałam, że jestem pod pręgierzem Gestapo, tak jak mówił ten młody major, więc to już koniec.

A jednak żołnierze mi mówili, że mogę jeszcze wyjść, nie mam chorować. Nawet jeden mi mówił, że gdy wyjdę, da mi adres do swoich rodziców. Mówił, że jestem podobna do jego matki.

I tak znowu za kilka dni wywieźli całe pełne więzienie Polaków. Był samochód, autobus Kruszyńskiego. Okna były zawieszane szmatami Winterhilfswerke NSN, ażeby nie było nic widać. Przy wejściu autobusu stał policjant z karabinem a kierowca był w mundurze wojskowym. Drugi samochód ciężarowy załadowany był Niemcami, cywilami z bronią i karabinami.

Ci zawsze jechali z przodu, a za jakieś pół godziny do 45 minut wracali. Gdy był wywóz, to obracali cztery do pięciu razy dziennie. I znów więzienie było puste. Zostało nas troje. Ale znów na parę godzin. Gdy zaczęło się ściemniać, to znowu jeńców ładowali i ładowali do celi.

Do mojej celi przyprowadzili raz dziewczuchę pełną wszy. Gdy to zameldowałam Borkenowi to myślałam, że Dunsta zje. Nie wiem, co do mnie miał, ale gdy był dłużej w Kartuzach, zmienił się. Może i moje słowa go skrzyły, gdy powiedziałam mu, że tych najlepszych nie ma, a łobuzeria została. Bo żaden porządny człowiek nie będzie drugiego człowieka skazywał na śmierć. A gdyby dziś w nocy wróciła Polska, to on pierwszy, zawisłby na Rynku. Może i to go poruszyło.

Lecz po zakończonej wojnie bardzo dużo słyszałam, że się za mną wstawili, tylko mnie bronili jako człowieka, a wszystkie burdy o zabiciu itd, to był tylko kłam.

Tak więc byłam do 26 listopada 1939 r. w więzieniu. Odbyła rozprawa zaoczna i skazali mnie na 4 lata Dachau. Ale jeszcze raz chcieli mnie puścić, ażeby męża złapać. I tak 26 listopada 1939 r. wypuścili mnie z więzienia schorowaną, bez mieszkania i bez grosza.

Gdy poszłam kupić bułki, chleb czy mięso z kartkami, to każdy mi je dał, ile chciałam, za minimalną opłatą. Wszędzie mówiłam po polsku mimo, iż było to zakazane. Gdy przyszłam do rzeźnika, Niemca Franka, ul. Gdańska, to wchodząc do sklepu mówię: „Dzień dobry”. Stoi znajomy malarz Radlow i mówi, że nie wolno mówić po polsku. Mówię, że inaczej nie umiem. Ludzie się rozstąpili i mogłam przejść do sprzedawczynie p. Frank.

Ona pyta, co chciałam. Mówię to, pyta dalej, oglądam się. Ojciec mówił, że tylko nóżki wieprzowe dostanę na kartki i to parę deko. Oglądam się, bo myślałam, że ktoś coś mówi, ale widzę, że nie. Wszystko słucha, nikt się nie odzywa. Wiec mówię dalej, może i to. Co jeszcze. A może i to. Pokazuję wszystko palcem. Ile? Wzruszam ramionami. Ona kroi. Widzę, że ładną kupkę mam przed sobą lecz pieniędzy mało.

Więc dziękuję. Pytam, ile płacę. Nie pamiętam już ile zapłaciłam lecz oczy wytrzeszczyłam, że tak mało. Lecę do domu i cieszę się, że tak dużo towaru mam za parę groszy. Muszę powiedzieć, że ludność współczuła mi bo ja jedna kobieta w Kartuzach tyle wycierpiałam. A gdy na ulicy mnie spotkali to się pytali, czy jestem siostrą p. Dziewiątkowskiej. Odpowiedziałam, że tak. Więc ładnie musiałam wyglądać.

Pewnego dnia dostałam wiadomość przez Feliksa Labudę, że mnie ponownie aresztują, bo transport jedzie do Dachau. Oj, moi drodzy to nie dla mnie, walizkę pod pachę choć ojciec nie kazał. Chora i słaba całą noc przebyłam w ubikacji na dworcu, a ojciec poszedł w dzień poprzedni kupić bilet. Zawsze po południu w kasie

biletowej był Polak. Gdy się chciało wyjeżdżać z miasta, musiał być Passierschein (przepustka). Tego nie miałam bo nie wolno mi było opuszczać miasta.

Ojciec pracował w bileterce, stąd też poszedł później na rentę. Tak teraz dostał bilet od kolegi, a ja 15 marca 1940 r. mogłam wyjechać pociągiem pod Brusy.

Pociąg ruszył. Na Imię Boskie. Żegnaj się z Kartuzami. Jeszcze w pociągu spotkałam znajomych, ale nikt mnie nie poznał. W ciągu tych trzech miesięcy straciłam dobre 10 kg. Już chyba miałam 58 - 60 kg.

### **Wspomnienia Anny Dziewiątkowskiej spisane 5 grudnia 1985 r.**

12 września 1939 r. Dunst, który był naszym opiekunem, otwiera drzwi: „Dziewiątkowska do biura”, mówi po niemiecku. Więc idę. Był jeden pokój, przegródka od więzienia do władzy. Wchodzę, a Borken mówi do mnie, że mam tu podpisać. „Co to jest”, pytam, „i o co mnie oskarżono”? Nie, tego nie zrobiłam i tego nie podpiszę. Stał gestapowiec, złapał mnie za głowę przez tą przegródkę, przechylił się i mnie bił. Borken powiedział: „Ty nas będziesz prosić, żebyśmy Ci dali podpisać”. Ja na to: „Nigdy, zabijcie mnie, a nie podpiszę”.

I tak przez 8 dni przesłuchania, zrobienie mojego zdjęcia na plakacie z opisem morderstwa, jakiego niby się dopuściłam, bicie pokrwawionych nóg, siedzenia. Do dziś mam ślady na ciele. Musiałam posprzątać biuro, a było tam nieraz tak, że aż strach. Pokrwawione nogi, coś okropnego. Piasek, słoma, zimna woda, a czysto musiało być. Gdy wywieziono aresztantów musiałam cele wyszorować. Gdy schody myłam, podawałam korespondencje z jednej celi do drugiej. 5 dnia przyprowadzili do mojej celi kobietę w halce i nocnej koszuli. Proszę wachmana, aby mi je nie zostawiał, jednak to obłąkana. Tak dziko wyglądała,

Wachman zlitował się i dał mnie do pierwszej celi. Tam była Pani, która pracowała w ZUS-ie, mieszkała zaś u Sakolowskiego, Gdańska 13 b. Kazali ją aresztować jako szpiega, tak przynajmniej mi mówiła. Spałyśmy razem na jednym łóżku, które było bardzo małe. Musiała rozdawać śniadanie, które było jedynym posiłkiem na cały dzień. Kawalek czarnego chleba i kubek czarnej kawy.

Aż pewnego dnia przyszedł po mnie wachman mówiąc, dzisiaj się przygotuj na egzekucję, będziesz rozstrzelana. Od tej chwili już nic nie mogłam zjeść tylko modłać się o dobry strzał, żebym nie musiała się męczyć (mordować).

9 dnia, a było to w niedzielę Dunst woła do mnie: „Do biura”. Boże znowu trzęsąca się wchodzę do biura. Borken siedzi, patrzy na mnie mówiąc: „Idź do domu”.

Chyba jestem nie normalna. Stoję bełkocząc coś. Borken mówi: „Idź do domu”. Wychodzę na korytarz, trzymając się okna, gdy nagle słyszę kobietę, która została w mojej celi wołającą: „Jezus Maria ratujcie ją, oni ją zabijają”.

Zaznaczam, gdy roznosiłam jedzenie mówiłam do niej po polsku, po kaszubsku, po niemiecku. Nigdy nie reagowała i nigdy nie tknęła jedzenia. A gdy dawałam jej chleb do ręki, to go pokruszyła. I stała w jednym miejscu, a ta z którą mieszkałam krzyczy: „Pani Dziewiątkowska, weź mnie Pani ze sobą”.

Skąd one wiedziały, że byłam zwolniona? Na ten krzyk i walenie w drzwi przyszedł wachman. Wzięli mnie do siebie, była tak kiedyś ślusarnia, a teraz biuro dla wachmanów. Usiadłam nikt do mnie nic nie mówił. Wtem wchodzi Mielewczyk i Borken. I do mnie, co ja tu robię. A nie mam żadnych papierów, że mnie zwalniam. Wychodzę, a oni za mną. Czekam na strzał. Gdy doszliśmy do drzwi, przy których stał wachman, zapytał się o papiery. Borken mówi: „Niech idzie”.

Więc idę, szpitala nie było, idę do ojca trzymając się drzewa. Jednak, gdy wchodzę do mieszkania, ojciec

strasznie się przeląkł, mówiąc dziecko to ty, czy zjawa. Różaniec, który mówił wypadł mu z ręki. Podskoczył do mnie, a ja: "Tatusz to ja, wypuścili mnie".

Zaraz miałam się położyć do łóżka, ale tak byłam pokrwawiona i brudna, że musiałam się w koc owinać. Nie mogłam Taka brudna nie mogłam położyć się w czyste łóżko. Ojciec codziennie chodził do więzienia się pytać, kiedy mnie wypuszczą, ale nigdy nie dali mu żadnej odpowiedzi. Gdy reszta rodziny wróciła z kościoła, dopiero było mycie, smarowanie i bandażowanie ran. Mówię do nich: „Oni po mnie ponownie przyjdą”, to w to nikt nie wierzył. Aż ok. godz. 16.00 siedzimy w kuchni i opowiadamy sobie. Proszę ojca, aby kazał zamknąć drzwi od podwórza na klucz, bo oni już są po mnie. Płaszcz mój powiesiłam koło drzwi. Ojciec myślał, że zwariowałam, ale kazał zamknąć. Wtem walenie do okna. Borken woła po niemiecku przez okno: "Panie Krygier, otwórz Pan". Ojciec zbladł, tak jak my wszyscy. Siostra Hela otworzyła drzwi, wszedł Borken i policjant. Naprzeciw drzwi stał worek z mąką, a na nim woreczek pszennej mąki. Ojciec musiał zlikwidować sklep, który miał na ul. Majkowskiego i resztę towaru ulokował w domu. Borken kopnął w ten worek krzycząc: „No widzisz ty psie, teraz cię mamy”. A tu cisza. Kazał policjantowi mnie zabrać.

Kiedyś musiałam gęś wyskubać w pralni. Przywieźli więźniów w otwartym samochodzie, a jeden więzień nie chciał jeść. To został zastrzelony na samochodzie. Tak też musiałam prać bo pralnia na podwórzu. Ale to tylko jeden dzień prania.

Znowu kiedyś gęś skubałam, przyjechał samochód otwarty na dziedziniec więzienia. Jeden więzień musiał wejść na samochód, dwóch żołnierzy go wniosło, a więzień strasznie prosił. Błagał, nie wiem o co. Ale samochód odjechał. Za pół godziny samochód z żołnierzami wrócił.

Niemcy klęli, że już tego nigdy nie zrobią, mieli spodnie okrwawione, które zmywali w pralni.

Gdy przyprowadzili dużo cywili, czy żołnierzy, to mnie wyprowadzali na podwórko. Kazali pielic truskawki, żeby to widzieli żołnierze. Nie wiem, co to miało znaczyć. Po wsadzeniu więźniów do cel, mi też kazali wejść. Przywozili wojskowych, cywili. Najpierw były przesłuchy, a Paweł i Brunon Mielewcykowie chodzili jak bogowie i rządili się, kogo chcieli to wypuścili.

Było gdzieś koło 17 lub 18 września. Czyściłam biuro, bo znowu były przesłuchy. Zobaczyłam, że na ziemi leży polski orzełek, czyli był tu polski żołnierz. Miseczkę z piaskiem, słomę, zimna woda, szmata, ale czysto musiało być. Orzełka pocałowałam, był duży piec kaflowy. Mówiłam, wróć orzełku, sfruń, ale chwilowo bądź ukryty. Popłakałam się.

Po chwili wszedł Paweł i Brunon Mielewcyk, więc pytam Pawła, bo go dobrze znałam. Mój ojciec był zawiadowcą stacji Somonino, a w 1924 r. został przesiedlony do Kartuz. Mieszkaliśmy u Franków na ulicy Kościuszki. Dom przed milicją.

Pytam się po polsku. Panie Mielewcyk, po co ja tu jestem? On odpowiada mi: (hier spricht man Deutsch) tu mówi się po niemiecku. A on do mnie mówiąc po niemiecku: tu są tylko niewinni, nie wiedzą, po co tu są.

A Brunon grzebał w leżącym pudełku drewnianym, w którym było pełno różańców. Na pewno pozabierano je więźniom. Brunon przewracał w tych różańcach i mówi: "To gównno wyślij".

A ja nie bacząc na moje rany musiałam sprzątać. Przeglądałam też książki, ale gdy któryś nie żył, było napisane zlikwidowany, a nie rozstrzelany.

Ale gdy raz Borken spytał się mnie, czy potrafię czytać po niemiecku, powiedziałam, że tak. Wtedy już wszystkie zeszyty, książki zgineły.



Jednak, gdy więzienie było pełne, tak wszyscy zostali wywiezieni. Około 400 mieściło się w celach, na dole 5 cel, a u góry chyba 6. W każdej celi od dwóch do czterech łóżek, reszta musiała stać lub na ziemi leżeć.

W pierwszych dniach wywozili około 1200 i w otwartych samochodach. Ze znanych był Cyganek, starszy pan, ksiądz z Przodkowa Roszkowski (dom własny Kościuszki), Estkowski, Turzyński nauczyciel, naczelnik poczty dr Remelski, Grandzicki nauczyciel, dużo twarzy znajomych.

Grandzicki 23 do 25 września ze mną musiał bieliznę policzyć. Dobrze pisał i mówił po niemiecku.

Wieczorkowi żona przyniosła kołdrę, a drugi dzień po wywozie kołdra wróciła, została włożona do magazynu. A Wieczorek właściciel Drogerii na Rynku, już nie wrócił.

Gdy czyściłam korytarz Wieczorek był w celi 3, cela otwarta. On się bardzo dziwił, że tu jestem, a mi powiedział, że jego oskarżyli swoi. Był Prezesem Związku Zachodniego. Był tylko dwa dni, już go, i jeszcze dużo innych, wywieźli. Mówiono, że do Borkowa.

Jednego dnia przyprowadzili kobietę do mojej celi, źle ubraną, bez majtek. Prosiłam, aby siostry z obiadem przyniosły jej ciepłe majtki. Borken przyszedł po przesłuchaniu tej osoby, pytał się, dlaczego to zrobiłam. Bo marzła – powiedziałam.

Znowu pod koniec października przywieźli kobietę, pytam się kim jest. Odpowiada z Parchowa z majątku. Na drugi dzień wchodzi do nas dwóch żołnierzy – wachmanów dobierając się do tej Pani, powalają na łóżko, biorą się do gwałtu. Ona woła „Meine Herren”.

Oni mówią, my ci damy, „Meine Herren”, broni się jak może, nie daje rady majtki zdjęte włazi jeden, potem włoży ją pomiędzy nich. Mówię bardzo dobrą niemczyzną. Panowie, wy jej nie rozumiecie, ona was prosi, moi panowie. Jak piorun zeskoczyli. Włożyli to, co musiało być

włożone, wyszli i zamknęli celę. A pani wpadła mi w ramiona z płaczem.

I tak jeszcze 11 listopada patrzę przez okno tu więźniowie chodzą pod oknem i mi salutują, wszyscy rękę do czoła. Byli tam Radlofowie, bracia Senger, Roszkowski około 20 osób. Ja w płacz. Żaden wachman nic nie mówił. A na drugi czy trzeci dzień słyszę obok mojej celi płacz, pukam. Dunst otwiera, pytam co to za płacz. Otworzył celę a tu Radlofowie, Senger strasznie pobici, całe plecy krwią zalane. Dunst dał mi wodę z octem obmyłam plecy popłakaliśmy i już było lepiej.

Już teraz autobusem, który należał do Leona Kruszyńskiego Niemcy wywozili więźniów – okna zawieszane firanami i tak 3 razy dziennie pełen autobus co pół godziny obracał. I tak przez tydzień. I tak liczę 100 osób na raz zabrali 3 razy czyli 300 osób dziennie to 900 osób, uważam około 2500 do 3000 wywieźli przez tydzień. Tydzień tak więzienie 3 razy było puste. Gdy mnie wypuścili 26 listopada, lecz papierów nie dostałam i nie wolno mi było opuścić Kartuz. W domu wypielęgowane. Ale do mojego mieszkania nie wolno mi było wracać.

Miałam być (1940 r.) wywieziona do obozu, tak mi dał znać Feliks Labuda, który pracował w magistracie. Wtedy uciekłam do Rosobud – Kolbud ?

Gdy mnie przyprowadzili do więzienia, już nie do mojej celi tylko do małego domku, który się łączy z więzieniem. Okna były do podwórza. Nie było w nim szyb. Przyszedł niedługo po tym Ali Armatorski, żeby okna oszklić. Mówię do niego Ali nie wmontuj mi okna ze szkłem nieprzejrzyście. On mówi, że prawie takie szkło ma wsadzić. Ja mówię powiedz im, że takiego nie masz Ali. Jak wyjdę będziesz biedny. Ali na popołudniu przyniósł mi okno przejrzyste. Ali biedny, nie mogę ci podziękować, ale w modlitwie o tobie pamiętam.

Dwa dni później przyszedł Lau i Busch, burmistrz i starosta do mojej celi tak mi mówił Dunst. Był dozorcą więzienia, był bardzo dobry, o co poprosiłam, to co mógł, to zrobił. A gdy ci dwoje tak przede mną stanęli, tak mówią: „Co jej tu potrzeba, łóżko ma, światło ma”. Na ten dzień trochę napalili, ale już do sprzątanania nie brali. Ja im na to, mój Boże, oni wyszli a ja nie mogłam się nadziwić co się stało. Chciałam założyć głodówkę. Ale Borken stał tak długo aż przy nim zjadłam zupę. Ojciec dostał pozwolenie na to, aby mógł mi przynosić obiady.

Po wojnie dowiedziałam się od zakonnicy siostry Auksylii, która pracowała w szpitalu, że ci dwaj ranni Niemcy, których z Żukowa przywiozłam uprosili, że jak Niemcy złapią polską sanitariuszkę to nie dość, że ją na wolność puścić, ale jeszcze order jej dać. Ona swoim ciałem ich ochroniła, ponieważ przed szpitalem chcieli ich zabić, lecz ona na to nie pozwoliła.

Ja nigdy tego faktu nie wykorzystałam, ani nim się nie broniłam, gdy mnie w więzieniu bito.

Borken pytał o męża mówiąc, że nikomu nie powie. Pytał się, co będę robić gdy wyjdę. Ja na to, że ożenię się z czeladnikiem (mój mąż był mistrzem kominiarzem). A czeladnik u nas 3 lata pracował. Po to mówiłam, aby nie szukali męża i uznali go za zmarłego. Ustaliliśmy, że grób jest pod Wejherowem w lesie. Był tam trup żołnierza polskiego. Mąż wziął jego papiery, a jemu włożył swoje.

Niestety po wojnie miałam nieprzyjemności z tego względu, ponieważ grobem opiekowali się kominiarze. Miałam zobaczyć, ale nie wiedziałam, że to, nie to.

## **Wspomnienie z więzienia – listopad 1939 r.**

Kiedy z więzienia słyszałam ryk, bicie koni i tłuczenie czegoś na ulicy, byłam pewna, że polskie wojsko nas wyzwoli. Bo jednak Bortnowski miał iść nam do pomocy.

Więc już skaczę, cieszę się w mojej celi, nogi bolą od ran, rany nie chcą się goić, bo nie ma maści. Ale radość, polski żołnierz mnie wyzwoli, chyba jego stopy będę całować.

Gdy tak się raduję i obserwuję z okna na dziedzińcu wachmanów, czy czasem nie uciekają. Ale nie. Więc wołam do wachmana: *Was ist da in der Stadt* – co tam jest w mieście taki hałas. A on do mnie: Tą Madonnę wyrzucili. Oczy mi wyszły na wierzch, co? Mówię. Ale pomyślałam, to nie polskie wojsko ! Ten żołnierz mówi, „to nie my, to tutejsi”, więc ci Niemcy, co tu mieszkali. Ja mu na to, gdy ja stąd wyjdę, to Ją z powrotem postawię<sup>6</sup>. A żołnierz postawił się szeroko, ręce w bok ujął i tak mówi: „Ani ty nie wyjdiesz, ani Madonna więcej stać nie będzie”.

Tak los chciał, gdy Bogu coś przysięgniesz, nie zapomnij.

Trzeba więc było dalej się przygotowywać na śmierć. Nic z mojej uciechy, a teraz jeszcze to, że naszą Matkę Boską z parku wyrzucili. Chyba już teraz nie ma ratunku. Zginiesz. Płacz i lamentowanie nic nie pomogło. Ale, gdy tak los chciał, że 26 listopada 1939 r. zostałam zwolniona z więzienia. Z tym, że nie wolno mi było opuszczać miasta.

A Polizei Inspektor Borken bez przerwy się pytał, co będę robić. Powiedziałam mu, że wprzód muszę wyzdrowieć, a potem nie wiem. Ale w styczniu musiałam opuścić miasto z powodu ponownego aresztowania. Uciekłam do Brus raczej Kosobudy do Mikołaja Sumionki i tam przebywałam do 15 marca 1944 r.. Przeżyłam bardzo dużo.

---

<sup>6</sup> Podobna sytuacja miała miejsce w tym roku, 2009, 70 lat później, kiedy to ciężko pobity został chłopiec, Marcin Górski. Zrozpaczony ojciec Bogdan Górski, człowiek szlachetny i majątny, poprzysiągł sobie, że jeżeli syn przeżyje i wyzdrowieje, to on odnowi kaplicę w Kolegiacie Kartuskiej. I tak się stało. Chłopiec wyzdrowiał, kaplica została odnowiona, a koszta wyniosły setki tysięcy złotych.

Dopiero w takiej sytuacji zdajemy sobie sprawę z faktu, ile jest warte życie ludzkie i jak miłosierny jest Pan Bóg, który poświęcił swego Syna, by nas zbawił.

A gdy miałam wolność, to pierwsze było, aby się zabrać do odbudowy naszej Madonny. Pieniądzy nie było, mieszkania nie było, ale była chęć i stworzyłam teatr.

Przed wojną do 1939 r. mój ojciec Józef Krygier miał w PKP dział kulturalny i ja przy każdej scenie odgrywałam najważniejszą rolę jako kobieta. Więc zebrałam dziewczynki i ćwiczyłam teatr. Jako reżyser miałam i główną rolę. Za wieczną prawdę. Dramat religijny w pięciu aktach. Zofia Głosówna.

Tę sztukę odegraliśmy we wszystkich większych wioskach powiatu kartuskiego i w Kartuzach. Z tego zebrałam osiem tysięcy zł.. I Pan Miąskowski, ul. Gdańska, Kartuzy, kamieniarz skleił rozbitą Figurę, co kosztowało dużo roboty. Cały tył Figury był rozwalony, promienie połamane. Myśmy znaleźli tę połamaną Figurę w Refektarzu. Była tam kupa kamieni, a nikt nie wiedział, że Ona tam jest. Proboszcz Połomski z parafii kartuskiej zginął w Stutthofie, a do Refektarza nie wolno było nikomu zaglądać. Były tam olbrzymie skrzynie z ołtarzami z kościołów z Gdańska. Ale dla mnie nie trzeba było klucza.

Tak więc 14 października 1945 r. odbudowano naszą Matkę Bożą w Parku Kartuskim, która króluje nam do tej pory.

Ja moją misję spełniłam. Jak chcesz, to wszystko można zrobić tylko trzeba trochę poświęcenia.

**Źródło:**

**Muzeum Kaszubskie im. Franciszka Tredera w Kartuzach, AH 277, Pamiętnik Anny Dziewiątkowskiej.**